

KULTURA

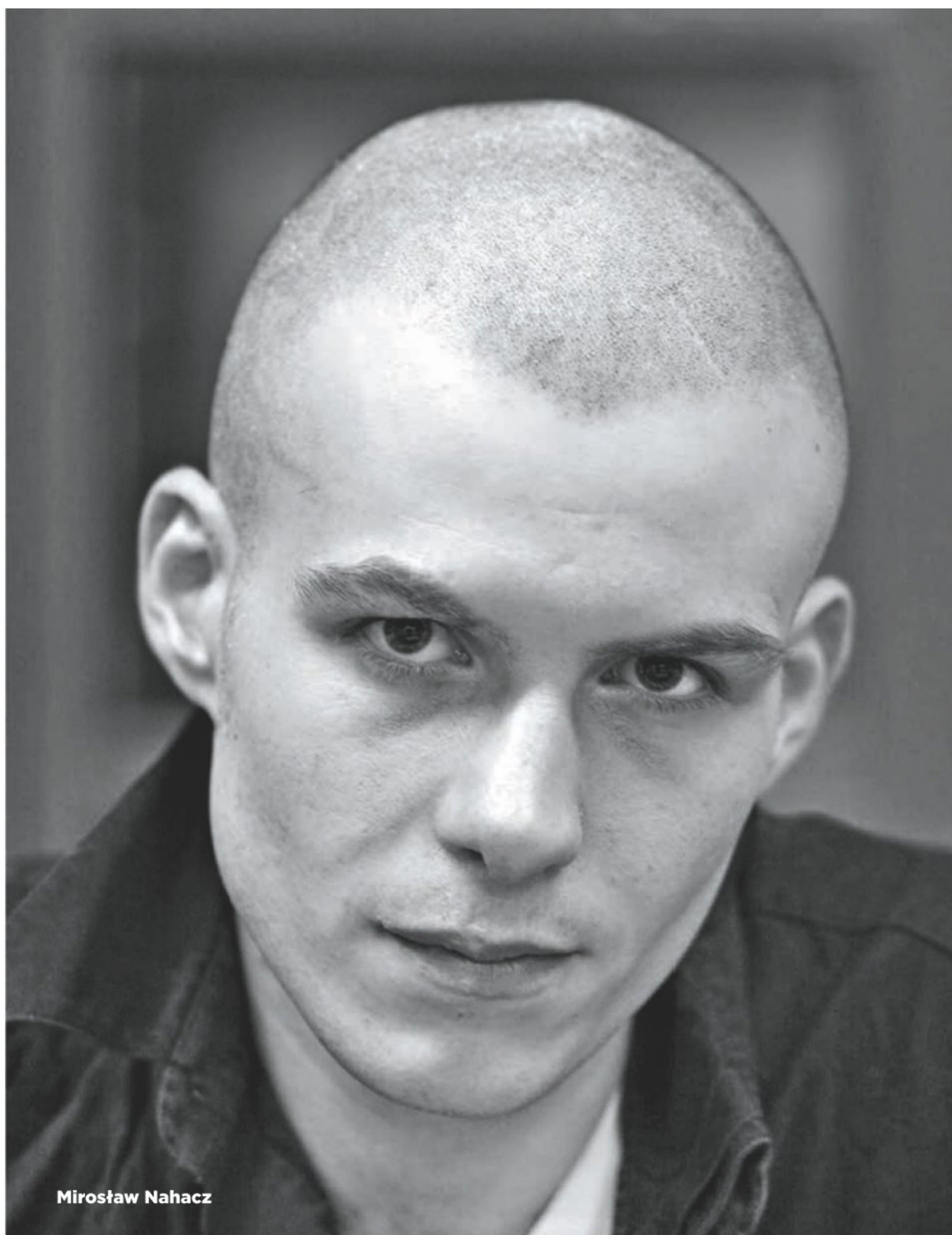
Newsweek

MIROSŁAW
NAHACZ
W TEATRZE

Troszeczkę cudownie

Mirek Nahacz napisał „Niezwykłe przygody Roberta Robura” i umarł. Krzysztof Garbaczewski znalazł w nim samego siebie. Teraz wystawia „Robura” na scenie TR Warszawa. Premiera 10 czerwca

TEKST DAWID KARPIUK



Mirosław Nahacz

Przyjechał z małej miejscin-ki w Beskidach. 19-letni debiutant z charyzmą Hłaski i spojrzeniem Edwarda Stachury. W artystycznej Warszawie początku XXI wieku odnalazł się doskonale. Ludzie mówili, że jak się Nahacz ogarnie i napisze jeszcze ze dwie książki, to stanie się gigantem. Będzie drugim Stasiukiem albo jeszcze lepiej: drugim Pynchonem. Albo po prostu pierwszym Nahaczem.

Ale się nie ogarnął. Został następnym młodym zdolnym, co źle skończył. Reżyser Krzysztof Garbaczewski mówi, że między byciem nikim i byciem kimś bardzo wielkim jest wielka przepaść i Mirek po prostu w nią wpadł. On sam stoi na krawędzi i patrzy w dół. Myśli, jak znaleźć Mirka, ale za nim nie polecieć.

Patrzysz w tę otchłań, nie zamyszkasz oczu, aż ci wszystko zaczyna płonąć. A z mroków się wyłaniają kolejne demony – mówi Garbaczewski i odpływa, jakby nie było ani knajpy, w której się spotkaliśmy, ani całego świata. Tylko spektakl według ostatniej powieści Nahacza. Scenariusz napisał Kuba Żulczyk, a Garbaczewski zabrał ich w podróż. Nikt nie wie, co się w tej podróży wydarzy. Robi się trochę nerwowo, bo premiera już za kilka dni. Ale Garbaczewski z tego słynie: najpierw wspólny odlot, a potem lądowanie tuż przed premierą. W branży mówią: nasz teatralny kosmita. Niełatwo za nim nadążyć.

– Krystian Lupa pisał, że czasem odkłada teatr na rzecz innych sztuk, bo teatr jest potwornie schizofreniczny i trzeba od niego odpocząć – cytuje swojego mistrza. Studiował u Lupy, asystował przy jego „Factory 2”. Ci, którzy z nim pracowali, albo go kochają, albo nie znoszą. – Mówi się, że aktorzy się przeistaczają, ja muszę być w pewnym sensie każdym z nich. Można robić bezpieczny teatr, wszystko zaplanować. Bezpieczny teatr mnie nie interesuje.

Interesują go „Niezwykłe przygody Roberta Robura”, psychodeliczna powieść Mirosława Nahacza. Czego tam nie ma! Miasto-dystopia, wszechpotężna telewizja, serial „Wściekłość i wrzask”, w któ-

rym zamiast aktorów występują bóstwa. Do tego cytaty i nawiązania do filmów i książek, na których pokolenie Nahacza się wychowało. Główny bohater to były scenarzysta serialu, poturbowany życiowo i ze służbami specjalnymi na karku.

Na okładce czarno-białe zdjęcie autora i podpis: „Ostatnia książka”. Nahacz miał dwadzieścia trzy lata, kiedy w 2007 r. się powiesił. W piwnicy budynku, w którym mieszkał, po okresie depresji, kłopotach w związku, zbyt wielu imprezach i narkotykach. Książka ukazała się dwa lata po jego śmierci.

Jakiś czas później przeczytał ją Garbaczewski. – Kiedy trafisz na taki materiał, odlatujesz – opowiada. – Nie wiesz, co się z tobą dzieje, gdzie cię to zaprowadzi, gdzie jest granica pomiędzy rzeczywistością i iluzją. Nahacz chciał zobaczyć świat oczami swoich bohaterów, stworzyć

” *Był gotowym pisarzem i miał coś ważnego do powiedzenia. Mówił swoim głosem, niepodrabianym. Tego nie można się nauczyć*

WSPOMINA ANDRZEJ STASIUK

narrację, która obejmuje cały wszechświat, która flirtuje z nieskończonością, która chce zrozumieć wszystko. Umiał nazwać to, czego ja nie potrafię. Pracuję nad tym, bo jego nie ma. Ale przecież ten język jest moim językiem! Ja nim mówię, ja nim myślę! To jest szokujące.

Normalny chłopak – wspomina Andrzej Stasiuk. – Chodził z naszymi dziećmi do szkoły. Przyjaźnili się. Mieliśmy dużą – jak na wiejskie warunki – bibliotekę. Wybierał książki, wkładał do zabytkowej woj-

skowej raportówki. Oddawał, brał nowe. Niewykluczone, że wcześniej przeczytał wszystkie ze szkolnej biblioteki.

Był najmłodszym z rodzeństwa, przez parę lat mieszkał tylko z matką. Ojciec zmarł, kiedy Nahacz był w podstawówce. Szukał ojca w starszym o pokolenie Stasiuku. A Stasiuk zobaczył w nim samego siebie. Dużo rozmawiali. Któregoś dnia Nahacz położył na stole stos zadrukowanych kartek. „Osiem cztery”. „Były to wiersze nie były” – wzdrygnął się Stasiuk. Przeczytał parę stron. Zachwycił się.

– Tam była energia, siła i bezdyskusyjny talent – wspomina dziś. – To się czuło od pierwszej strony. Zero udawania. Wiedział, co chce powiedzieć, i wiedział, jak to zrobić. Był gotowym pisarzem i miał coś ważnego do powiedzenia. Mówił swoim głosem, niepodrabianym. Tego nie można się nauczyć. Przeczytałem i od razu, w nocy, zadzwoniłem.

„Rzeczywistość nabrała ochoty na wypowiedź i w tym celu wybrała sobie Nahacza, a on zgodził się jej wysłuchać i zapisać” – zapowiadał nowego autora Stasiuk. „Mirosław Nahacz jest wybrańcem. Tutaj mam absolutną pewność”.

– Opowiadaliśmy sobie historie – wspomina. – O książkach, o zdarzeniach, o życiu po prostu. Mirek zazwyczaj siedział, a ja chodziłem po naszej kuchni. Tak było.

„Osiem cztery” trafiło do księgarń w 2003 r., Nahacz przeprowadził się do Warszawy, zaczął studia w Instytucie Kultury Polskiej UW.

Warszawa budziła się z letargu. Otwierały się pierwsze kluby z ambicjami, pierwsze knajpy, w których oprócz piwa można było kupić książkę. – Wszystkim się wydawało, że jeszcze kilka lat i tu będzie jak w Londynie albo w Berlinie – wspomina Krystian Legierski, twórca kultowych klubów Le Madame i Tomba Tomba. Przychodzili krawaciarze, studenci, artyści, biznesmeni, anarchiści. Legierski poznał Nahacza, kiedy ten zatrudnił się w Tombie jako barman. – Nie miałem pojęcia, że ma kłopoty – wspomina. Miły chłopak, cichy, trochę wycofany.

Nahacz studiował w jednej grupie z Michałem Sufinem, Agnieszką Drotkiewicz i Dorotą Masłowską. Debiutowali w podobnym czasie. Masłowska „Wojną

polsko-ruską” w 2002 r., Nahacz „Osiem cztery” w 2003, a Drotkiewicz „Paris London Dachau” w 2004. Ostatni był Sufin, jego „Warszawskie wersety” ukazały się w 2006 r. Dołączył do nich Jakub Żulczyk („Zrób mi jakąś krzywdę”, 2006).

– Dorota otworzyła drzwi, wywaliła je z kopa – mówi Stasiuk. – To było pierwsze pokolenie bardziej uwikłane we własną biografię niż w historię. Nie mieli już usprawiedliwień dla własnych wyborów. Byli samotni, ale samotność jest powołaniem pisarza, więc to może pierwsze normalne pokolenie?

Masłowska była z Nahaczem najbliższymi. – Usiedliśmy razem w ławce – wspomina. – Oboje byliśmy z tych łobuzujących, od razu zaczęliśmy działania sabotażowe. Wspominam to dosyć wspaniale, chociaż nasze interakcje zawsze kończyły się kłopotami: ja łądowałam na policji, a Mirek w izbie przyjęć. A to zbiliśmy szybę, a to robiliśmy fikołki z górki i Mirek uderzył głową w pomnik... Jednocześnie studia bardzo nas interesowały, mnóstwo czytaliśmy, dyskutowaliśmy, szwendaliśmy się od Czulego Barbarzyńcy, przez Aurorę, gdzie za barem stał Zbigniew Libera, po Raster, gdzie była siedziba „Lampy”.

Naczelnym „Lampy”, Paweł Dunin-Wąsowicz, uchodził za literackiego cudotwórcę. To on odkrył Masłowską i wydał jej debiut, który zatrzęsł polską literaturą. To u niego debiutował Żulczyk, a potem Małgorzata Rejmer i wielu innych.

Nahacz napisał do „Lampy” kilka felietonów. – Przychodził z Dorotą – wspomina Dunin-Wąsowicz. – Paliliśmy papierosy, piliśmy alkohol. Jak narozrabiali, jeździliśmy po komisariatach ratować sytuację. Nahacz wydawał się wtedy miłym, w miarę szczęśliwym człowiekiem.

Michał Sufin, pisarz i scenarzysta, kojarzony dziś przede wszystkim z Klubem Komediovym, poznał Nahacza na zajęciach z poetyki. – Polubiliśmy się – mówi. – Mirek był nieco chimeryczny. Nie uczestniczył w życiu grupy, ale w gruncie rzeczy był otwarty, serdeczny, koleżeński. Typ człowieka, z którym najpierw trzeba przełamać lody. Dawał mi fragmenty rzeczy, które pisał, gadaliśmy o tym.

– Mnóstwo czytał – dodaje Masłowska. – Ciągłe czymś niesłuchanie się podnie-

”Miał głowę pełną książek i chciał żyć jak w tych książkach, życiem fantastycznym i skrajnym

MÓWI O NAHACZU DOROTA MASŁOWSKA

cał, zawsze coś albo pisał, albo planował jakieś opus magnum. Miał głowę pełną książek i chciał żyć jak w tych książkach, życiem fantastycznym i skrajnym, bez poważania dla realiów. Był bardzo utalentowany i ambitny, rozgorączkowany. Z każdym umiał się dogadać. Normą było, że np. miał przyjść o 6, ale przychodził o 23, bo po drodze spotkał menela, który go zagadał i siedzieli sobie parę godzin. A jednocześnie, jak urodziłam dziecko, to sam się zgłaszał, żeby z nim zostać, jak pójdę na zajęcia. Były to czasy wielkiej głupoty, ale wokół nas było tyle niezwykłych, utalentowanych osób, że nawet to robienie głupot było twórcze.

Im więcej Garbaczewski pracuje nad Nahaczem, tym bardziej czuje się do niego podobny. – Brnę i brnę w tę powieść – tłumaczy. – Czuję, jakbym niemal mógł się z nim zaprzyjaźnić. Jakby to było jakieś nieodbyte spotkanie.

Są z tego samego pokolenia. – To jest trudny czas, po dwudziestce – mówi Garbaczewski. Ma dziś 33 lata, Nahacz, kiedy popełnił samobójstwo, był o dziesięć lat młodszy. – Można tych lat nie przeżyć, tym bardziej jak rzucasz ludziom na pożarcie swoje myśli, całego siebie. Wyjście do ludzi ze swoją wrażliwością jest bardzo trudne, pamiętam, jak trudne było dla mnie. To ciągłe pytanie o to, kim jestem, co robię. Czasem czuję, że musieliśmy mieć ten sam lot – zamyśla się. – Oglądałem te same filmy, czytałem te same książki, słuchałem tej samej muzyki. Świetnie by się nam pracowało razem.

Obaj czerpali z doświadczeń swojego pokolenia, na którego oczach kończył się PRL i zaczynała epoka internetu. – Całe to pokolenie jest biseksualne – mówi Gar-

baczewski. – Ani takie, ani takie. Nie walczyliśmy z komuną ani nie urodziliśmy się w czasach Facebooka. Być może z tego pięknięcia bierze się jakaś mądrość. Nasze doświadczenie jest egzystencjalne, ahistoryczne. Nahacz znalazł język, którym o tym opowiedział.

To były bardzo intensywne czasy – mówi o ubiegłej dekadzie Paweł Dunin-Wąsowicz. – Robiłem trochę za dużo, trochę się wypaliłem. Po sukcesie Doroty wiele osób oczekiwało, że każdy może mieć taki sukces. Dla nich to wszystko też było za intensywne, dla Doroty i Mirka. W co on się wdał, w jakie szaleństwa? Nie wiem. Wtedy to było normalne, że jak była trawa, to się ją paliło. Mirek polecał w cięższe rzeczy, znalazł się w jakimś innym świecie.

Z tego innego świata przyniósł swoją ostatnią książkę, „Niezwykłe przygody Roberta Robura”. Wydawnictwo Czarne jej nie chciało. – Gdy mieszkał w Warszawie, rzadziej się widywaliśmy – wspomina Andrzej Stasiuk. – Jeśli idzie o „Robura”, to chyba mu napisaliśmy, że według nas, Czarnego znaczy, książkę trzeba skrócić. Mirek odpowiedział, że to nie wchodzi w grę. Była chyba milcząca zgoda, że poszuka innego wydawcy.

Nie poszukał. Książka ukazała się po jego śmierci.

– Był samotnikiem – mówi Sufin. – Czasem nie wiedzieliśmy, co robi. Spotykało się jakichś obcych ludzi, którzy nagle mówili, że świetnie znają Mirka. Jeździł po Polsce, rozmawiał. On miał kocie zwyczaje, żył w wielu kręgach. Tuż przed zdawał się być w dużym dole, trudno było się do niego dostać. I było za mało czasu, żeby zareagować.

– Każdy artysta zajmuje się czasem patrzeniem w otchłań, ale powinien wiedzieć, kiedy przestać – opowiada Garbaczewski. – To nie jest bezkarne. Jego ta otchłań zabrała.

– Wspominam go w tym całym młodzieńczym chaosie jako ciepłą i dobrą osobę – kończy Masłowska. – Często sobie wspominamy, jak gdzieś siedział i mówił: „No, ale jest troszeczkę cudownie”. **N**

dawid.karpiuk@newsweek.pl